

Marta Kwaśnicka: Być drapieżnikiem, choćby nieudanym

U Herlinga pisanie to jakby wysączanie z siebie życia, a kiedy się stworzy arcydzieło, nieuchronnie się umiera



U Herlinga pisanie to jakby wysączanie z siebie życia, a kiedy się stworzy arcydzieło, nieuchronnie się umiera

Moja przygoda z Herlingiem zaczęła się od „Don Ildebrando”. Brzmi to pewnie niewiarygodnie, ale takie są prawa pokoleniowe: niektórzy zaczynają od końca. Któregoś dnia na przerwie podeszła do mnie polonistka. Było to w pierwszej lub drugiej klasie liceum. Od roku sprawdzała moje coraz bardziej ogniste elaboraty, pisząc pod nimi cierpliwe liściki czerwonym lub zielonym cienkopisem. Im dłużej się

nad tym zastanawiam, tym wyraźniej widzę, jak dużo dla mnie zrobiła. Podchodziła tak wielokrotnie, rzucając mimochodem, że powinnam przeczytać to lub tamto. W ten sposób trafiło w moje ręce wiele książek, ale, co najważniejsze, tak trafił do mnie Herling. – W dzisiejszym „Życiu” jest wywiad z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim. Szykuje nam się nowa premiera tego pisarza. Warto przeczytać – powiedziała wtedy. Korytarz przepelnionej katowickiej tysiąclatki był bardzo ciemny, pełen hałaśliwej młodzieży. Panował w nim zaduch, powietrze pachniało potem i pastą do podłóg. W takich okolicznościach po raz pierwszy usłyszałam to nazwisko.

Prawie w ogóle nie pamiętam tego wywiadu. Wiem, że kupiłam wtedy „Życie” i że czytałam je w trzęsącym się ikarusie linii 888, którym wracałam do domu. Rozmowa musiała mnie rzeczywiście zainteresować, bo kolejne dni spędziłam na chodzeniu po księgarniach i oczekiwaniu na książkę „tego Herlinga”. W końcu ją znalazłam i, wysupławszy środki z kieszonkowego, pogrążyłam się w lekturze.

Z owego pierwszego spotkania także pamiętam tylko strzępy. Wiem, że uderzyło mnie mocne przekonanie Grudzińskiego, że zło rzeczywiście istnieje, i przejęła do głębi wszechobecna w tej prozie śmierć, która wszystkiemu nadaje nowy, głębszy sens (w niedokończonym „Wiek biblijnym i śmierci” intuicja o jej nieuchronności znalazła potem swoją formułę: sto morendo, umieram). Wielu rzeczy nie byłam jeszcze wtedy w stanie nazwać po imieniu, ale od razu przemówił do mnie język Herlinga, jasny, momentami poetycki, bardzo plastyczny, oddający rzeczy wiernie jak pędzel Caravaggia, i w podobnych kontrastach.

Dlaczego w ogóle o tym wspominam? Bywają książki na różne etapy życia; są jakby emblematami, po których rozpoznajemy kolejne stany swojego ducha. Ale Herling to pisarz, który, chociaż zniknął mi czasami z pola widzenia, od czasu premiery „Don Ildebrando” zawsze był w moim

życiu obecny. Wystarczała mi sama świadomość, że w polskiej literaturze w ogóle istnieje takie zjawisko. W dodatku pojawiał się zwykle nieprzywoływany. W ciągu kilku miesięcy od pierwszej lektury bardzo już byliśmy ze sobą zaznajomieni. Dowiedziałam się, że przedkładał relację nad opisy, co było dla mnie cenną nauką; o sprawach wziętych z życia opowiadał, jakby to był mit lub baśń, odnajdował w nich rysy archetypu. Do dzisiaj zresztą urzeka mnie ta cecha jego pisarstwa:

W ciągu kilku miesięcy wychodził codziennie rano z domu do Circolo Bellini w Palermo i od dziewiątej do trzeciej zapełniał zeszyt po zeszyt swym równym pismem. Położywszy na kartce ostatniego zeszytu słowo „koniec”, zdążył jeszcze tylko przepisać całość na czysto; wkrótce potem zjawily się pierwsze oznaki choroby, przewieziono go na leczenie do Rzymu, i tam umarł (o „Lamparcie” Giovanniego Tomasi di Lampedusa)

Przez takie cytaty człowiek wiele razy zastanawia się, zanim weźmie pióro do ręki lub, jak to się teraz odbywa, włączy edytor tekstu, nabierze powietrza w płuca i położy dłonie na klawiaturze. U Herlinga pisanie to jakby wysączanie z siebie życia, a kiedy się stworzy arcydzieło, nieuchronnie się umiera. Ale gra jest warta świeczki. Grudziński, jak Lampedusa, trzymał się trójjęzycznej zasady Stendhala: *Toute ma vie ho voluto la stessa cosa: to make un chef-d'oeuvre.*

Pamiętam, że w dniu śmierci Herlinga dostałam się na warszawską polonistykę, gdzie kiedyś studiował. To zabawne, bo przecież nie on jeden, ale odczułam ten zbieg okoliczności jako coś bardzo osobistego. Chodziłam wtedy długo po Starówce (ostatni pociąg na południe odchodził około ósmej wieczór, miałam zatem kilka godzin), zastanawiając się, co powinnam wybrać. Już wcześniej podjęłam decyzję o studiach w Krakowie, teraz miałam jednak klasyczne second

thoughts. Ostatecznie padło na Małopolskę, a ja na jakiś czas zapomniałam o Herlingu. Nie miałam z jego prozą styczności na studiach, potem sporadycznie. Do dzisiaj nie przeczytałam w całości “Dziennika pisanego nocą”; jak dotąd wpadały w moje ręce tylko pojedyncze tomy z czarnej serii.

Uświadomiłam to sobie stosunkowo niedawno. Kilka dni temu weszłam do krakowskiej Księgarni pod Globusem, bo usłyszałam, że właśnie ukazała się ostatnia część nowego wydania. Sprzedawca był niezmiernie miły i poszedł mi na rękę, kiedy spytałam, czy da mi zniżkę, jeśli kupię wszystkie tomy na raz. Dał, i to naprawdę sporą. Każdy wolumin pakował osobno do półprzezroczystej reklamówki i troskliwie pytał, czy mam daleko do domu.

Zaczęłam czytać już w tramwaju:

... zawsze przywiązywałem wagę do podziału na pisarzy i literatów, długi pobyt we Włoszech – gdzie korzenie mniej lub więcej nadwornego letterato są nad podziw od stuleci zakonserwowane – utwierdził mnie w mojej idée fixe. W skrócie, pisarz to człowiek gotów do ostrej gry o wysoką stawkę (...), z natury samotny drapieżnik (choćby nieudany); literat to stworzenie trawozerne, pracowicie pstrzące papier, ciułające jak grosiki w skarbonce wszystko, co zdołało z siebie wydzielić, poruszające się najchętniej w tabunach „kolegów”, niezdolne do narowistego wierzgnięcia, mało skłonne do przekraczania granic ogrodzonego terenu wypasania...

Herling pisze dalej, że nadmierna aktywność letterati sprawia w końcu, że nikt nie interesuje się już literaturą, zwłaszcza młodzi. I kończy ten ustęp stwierdzeniem, że z czarnego nastroju owego wieczora wyrwała go lektura Kijowskiego.

Podział na dworskich skrybów i pisarzy istniał, istnieje i zawsze będzie istniał. Z jednej strony olbrzymia obecność letterati wskazuje, że przynależymy do pewnego „salonowo-dworskiego” kręgu kulturowego, w którym przesypywanie słów, jak paciorków, także bywa sztuką, podobnie jak umiejętność prowadzenia niezobowiązującej konwersacji (paciorki to akurat metafora Bobkowskiego). Jest to jednak zaledwie sztuka mniejsza; trzeba pamiętać, że nadmierne przebywanie w koteriach i na salonach ostatecznie zapycha umysł burym piaskiem.

Ponieważ „Dziennik” będę czytała przez dłuższy czas (wolę nie myśleć o ilości rzeczy, które mam teraz do zrobienia, i tabel, które muszę wypełnić), Herling jeszcze nie raz będzie się tutaj pojawiać.

POST SCRIPTUM

Panią Profesor serdecznie pozdrawiam, chociaż zapewne tego nie czyta.

Marta Kwaśnicka

Przeczytaj więcej tekstów na blogu autorki